№ 83 i 84

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 22 PAŹDZIERNIKA — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1837

ZEJSCIE SIĘ NA BALU.

(z francuzkiego)

»O nią się starają, w sobie zakochana,
»Wznieca tylko miłość, miłość jej nie znana.

AND. CHENIER.

Nadto bal lubiła......

V. HUGO.

Przejeżdżając w roku 1825 przez F....., małe miasto z uniwersytetem, wszedłem w związek blizkiej znajomości z młodym uczniem, którego powierzchowność i sposób tłómaczenia się, szczególniej mnie zajęły. Wieczność ośmio-dniowa, zupełna zgodność i wypalenie kilku tuzinów fajek nałożonych Kanastrem *für Gesundheit*, przy kilku tuzinach kufli piwa, uczyniły nas najlepszymi kolegami w świecie.

Fryderyk de *** był jeden z tych, co mieli najczulsze serce, a najgorsze głowy pomiędzy uczniami uniwersytetu w Frankforcie. Co do duszy Niemiec, co do głowy Francuz, łączył w sobie to wszystko, co jeden z tych narodów ma gruntownego, drugi powabnego. Należał on do tej licznej klasy uczniów, co częściej czytają: *Goetego*, *Schillera*, albo nawet *Augusta Lafontaina*, aniżeli *Kanta*, *Hugo* i *Savigny*.

Fryderyk jednak urywał kiedy niekiedy po kilka godzin od tych rozrywek, i poświęcał je nauce. Zresztą syn Hrabiego de ***, jednego z najznaczniejszych Jenerałów Pruskich, i podług wszelkiego podobieństwa dziedzic 45,000 tal. dochodu, wspaniałego zamku w Szląsku i pięknego pałacu w Berlinie *pod lipami*, zawsze będzie posiadał tyle wiadomości, że zdoła z wdziękiem nosić ciężar tak wysokiej godności. Nasze życie przyjacielskie było życiem rozkosznem.

Trzeba było jednak jechać i rozłączyć się, po czułem pożegnaniu wyrzeczonem z głębi duszy, i przyrzeczeniu pisania do siebie długich listów, które być miały w oddaleniu dalszym ciągiem rozmów naszych ucznć w Frankforcie.

W trzy lata potem, odebrałem od Fryderyka list datowany z Berlina. Donosł mi, że ojciec jego umarł, a on odtąd rozsądny i trapiony smutkiem, że tak rychło został panem swego majątku, jest na wyjeździe do P**, jako członek Ambasady.

W krótce rozpoczęła się wojna na Rosyi przeciw Turcyi. Jak *Henryk de la Rochejacquelin*, i kilku innych, również Fryderyk uzyskał pozwolenie odbywać kampaniją jako ochotnik. Otrzymał krzyż Stej Anny przy przejściu Bałkanu, powrócił do B**, gdzie Król przydał do tego krzyż Orła Czerwonego, pozwalając mu jechać za granicę, a Fryderyk korzystając z tego, chciał w salonach Paryzkich nabrać wiadomości człowieka światowe-

go. Przyjąłem go na wysiadaniu, i czyniłem mu honory naszego wielkiego miasta, tak jak on mnie je robił w tutuniarni uniwersyteckiej. Było to poniekąd wynagrodzenie. Lecz skromny uczeń stał się modnisiem wielkiego tonu; niedbający o nie Fryderyk poznał życie; *Lovelace* zakątów getyngi, stał się teraz osobą z zastanowieniem. Z resztą rzecz dosyć zwyczajna w Niemczech, gdzie często najnieznośniejsze pustaki przekształcają sie przy wyjściu ze szkół w poważnych i godnych obywateli. Przejście to jest nieznaczne, a jednak bardzo naturalne między temi dwoma sposobami życia; jest to, jak kiedy rozpędzona igła magnesowa nagle staje na północ.

Już, miły czytelniku! często błądziłem z tobą po świecie; dlaczegóż byś raz jeszce nie miał mi towarzyszyć?

Było to, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, 17 stycznia 1830 r. około dziewiątej w wieczór, w tym czasie, kiedyśmy mieli dwór, Paryż i uroczystości. Na wpół ubrany na bal do Posła A***, siedząc w krześle z poręczami, owinięty w szlafrok, nogi pomimo pończoch przezroczystych, dla wygody od niechcenia w pantoflach, oczy błędnie wlepione w doskonały ogień, w którym wyczytywałem tysiączne zabawne rzeczy, czekałem na Fryderyka, któren miał mnie zabrać w swoim półkoczyku, i tym sposobem uwolnić od kabryoletu lub od wstydu w fiakrze. Bo to półkoczyk jest marzeniem młodego człowieka, który ma tylko kabryolet; tak jak kabryolet jest marzeniem syna znaczniejszej rodziny, który ma tylko konia wierzchowego; tak koń wierzchowy jest słodkiem marzeniem Liceisty, przeskakującego rynsztoki błotnistej ulicy Saint Jacques.

Zajęty byłem temi uwagami i kilku innemi również filozoficznemi, kiedym usłyszał trzęsące się wszystkie szyby w hotelu przy ulicy d'Aguesseau, w którym zajmowałem mały pokoik, łoskot ustał raptownie, lekkie stąpanie szeleściły po moich wschodach, a klucz obrócił się skrzypiąc w zamku. Pilno było memu rycerzowi. Nie miałem jeszcze czasu ocknąć się z głębokości moich zamyśleń filozoficznych i mojej berżerki; język mój był snem osnuty. Niegodziwy nie wszczynał rozmowy. Zrobiłem wielkie wysilenie, i odważyłem się powiedzieć do niego, żując me słowa przy poziewaniu piramidalnem.

»Jak-to! już, Fryderyku," o wpół do dziewiątej! Chceszże ty mnie zhańbić, wyciągając na bal o godzinie niewłaściwej? Czy chcesz, żeby mnie miano za Deputowanego, albo na wielkim świecie za lajka? Biedny mój Fryderyku! Wszakże to dopiero światło rozpalają! Nie zastaniemy w salonie nikogo oprócz lokai.«

Przerwa, ani słowa odpowiedzi. Niecierpliwość mnie wzięła.

»O najtwardsza głowo z pomiędzy synów Hermana, czy nie będziesz łaskaw nakoniec zwrócić twą flegmę? Widzę cię bardzo poważnym. Nie jesteś przypadkiem wzruszony jakiem *rendes vouz?*«

»Daleko coś lepszego albo gorszego,« odpowiedział: »Zejście się. Zlituj się na demną, dziś wieczór; śpiesz się, zchodź, i odłóż twoje zwyczajne żarciki do lepszego czasu.«

Te kilka słów wymówił z taką śmieszną uroczystością, że byłbym mu od razu strzelił w nos wybuchem śmiechu, prawdziwie francuzkim i prawdziwie wyraźnym, gdybym niebył przyzwyczajony od dawna oszczędzać drażliwość niemiecką urażającą się na nasze żarty.

Nie rozumiałem jeszcze dokładnie znaczenia słowa *zejście*, które mi rzucił jakby kość do ogryzania dla mojej ciekawości; lecz widziałem, że jeżeli się nie poddam jego żądaniu, będzie dla mnie niepodobieństwem wyrozumieć jego zawzięte milczenie. Jednakowoż słowo to zawierało w sobie jakby obietnicę całego rozwiązania rzeczy. Poddałem się zatem konieczności, mniemając, że Fryderyk będąc zmuszony czekać, kiedy wjedziemy w rząd pojazdów wzdłuż bulwarku Inwalidów, stanie się może rozmowniejszym. Kończyłem więc spiesznie moje ubranie.

Wczasie tych szczegółów niezbędnych, lecz za pospolitych, abym śmiał niemi was zajmować, proszę zwrócić oko na Fryderyka. Badanie wasze uwolni mnie od utrzymania ciągłej rozmowy.

Widzicie dobrze, że Hrabia Fryderyk de*** ma około dwudziestu lat, jest wzrostu średniego, tro-

chę otyły, lecz dla tego dobrze zbudowany. Chociaż na głowę włożył kapelusz balowy, którego forma składana czyni go zupełnie podobnym do furażerki, spostrzegasz jednak na lewo niezmierny pukiel włosów jasnych. Mówię na lewo, ponieważ eleganckie przykrycie głowy, zsunięte na prawe ucho, osłania go prawie całkiem. Płeć jasna jak włosy, małe wąsiki jasne jak płeć, czoło wysokie lecz troche płaskie, nos mniejszy jak nos charakterystyczny Niemców, usta wązkie, wielkie oczy koloru żywo-niebieskiego, oto opisanie jego takie jakieby mógł skreślić malarz municypalny paszportów. Ubiór jego jest trochę zabogaty, jak zwykle wszystkich ludzi z północy. Suknia obszerna z kołnierzem wyłożonym, ozdobiony dwoma łańcuszkami weneckiemi, od pierwszej do drugiej dziurki od guzików z lewej strony, na których podług mody dyplomatycnej zamiast na wstążeczce zawieszone dwa krzyże małości mikroskopijnej, klasyczna biała chustka uwielbiana od prowincyjalistów i kobiet; kamizelka aksamitna z guzikami złotemi wyrzynanemi; łańcuch złoty w koło szyi; breloki ze szczerego złota; spodnie obcisłe pokazujące nogę najlepiej w świecie utoczoną; mała stopa dobrze ubrana, której niema nic do zarzucenia chyba za bogaty wzorek ażurowych pończoch. Otóż macie teraz w ogólności i w szczególności Hrabiego Fryderyka ***. Nie pozostaje mi nic jak tylko wsiąść w zbawienny koczyk i wyjechać do pałacu poselstwa.

Przebiegliśmy pędem ulice Faubourg, Saint-Honore, Champs Elqsyés, przez plac i most Ludwika XVI (dawnego nazwania); lecz przejechawszy zaledwie kilka kroków wzdłuż ogrodu pałacu Bourbonów, wstrzymał nas szereg pojazdów, daleko jeszcze do rogu ulicy Saint Dominique; i Fryderyk nareszcie wyrwał się, przezwyciężając swe niecierpliwe milczenie:

„Wyobrażasz ty sobie co głupszego, jak pierwsze zejście się narzeczonych?"

„O bez wątpienia, jest to mniemane oświadczenie swej uniżoności, które po tem następuję aby służyło fatalnemu *tak* za przedmowę kilku-tygodniową."

„Bardzo dobrze, lecz szczęściem dla mnie, jeszczem tak daleko nie zaszedł. Tego wieczora na balu, ma się koło mnie przemknąć (wyraz myśliwski) córka Księżny M***. Otóż-to moje zejście się. Ja jako przypatrujący się cieniom; młoda i piękna Księżniczka (za taką ją przynajmniej mają) wystawiona na widok jako rzecz ciekawa, oświecona tysiącem świateł, i tysiąc zdań biesiadników daje o niej objaśnienie; a teraz czy chcesz ją mieć? jest do wzięcia, albo do zostawienia."

„Prawdziwie, taka dama wystawia się na widok, stroi się i sprzedaje jak soliter u *Pradhera*. Nie widziałeś jej jeszcze?"

„Nigdy. Podano mi do wyboru, gdzie chcę aby mi ją pokazano, w salonie, w operze, czy dzisiaj w wieczór na balu. Wybrałem bal."

Rozmowa ta której powtarzania, szanując wasze chwile, pomijam, rozmowa, która powinna usprawiedliwić w waszych oczach i moich, minę poważną Fryderyka zawiodła nas aż do przedsionka. Wysiedliśmy pod daszkiem; przebyliśmy dwa rzędy liberyi, którą mógłbym opisać, lecz zlituję się nad wami, pomimo świetnego stroju węgierskiego i niektórych hajduków. Przeszedłszy drugi przedpokój i pierwszy salon, napotkaliśmy o kilka kroków od drzwi, zupełnię szlachetną i zupełnie ładną małżonkę Posła. — Naszemi ukłonami chcieliśmy wyżebrać od niej kilka tych wyrazów wysokiej i wyszukanej grzeczności, które jak jałmużnę rozrzuca między swych gości, a Fryderyk wciągnął mnie w kąt na lewo przy drzwiach wejścia, pod wklęsłość ze złotemi wykładami, naśladującą drugie takie drzwi. Z tamtąd mógł wszystko widzieć i słyszeć, nie będąc sam widziany, chowając się za mnie, jak kanonijer zapalający działo za kosz.

Uczta była wspaniała. Jakże wesoły i zachwycający obraz! Na forgruncie czyli na przodzie obrazu, młode dziewice, młode kobiety, głowy jasne, ciemne, wszystko to w puklach, zmienne w tysiącznych kształtach, tysiącznych kolorach, tysiącznych widzimisię; głębiej o kilka kroków w cieniu poszanowania godne matrony, ze swemi beretami i bonetkami *Herbana* albo panny *Coulier*; swemi brylantami błyszczącemi na poważnych aksamit-

nych sukniach. Odbijali od tego, mężczyźni czarni, bronzowi, przebiegający rojami jeden przez drugiego salony, uprzedzający się w grzecznościach dla wszystkich dam, lub dla jednej w szczególności.

Fryderyk, to ukradkiem spoglądał na drzwi, to oparłszy łokcie na kolanach, a głowę na ręku, zdawał sie być zatopiony w czczych myślach.— Kończył się kontradans; razem daje się słyszeć lekkie szastanie stąpań i sukień w pierwszym salonie.— Jeżeli kto polował, to znane mu jest drżenie bojaźliwe gałązek szumiących z cicha, kiedy sarna zbliża się do jego stanowiska i ma przeskoczyć zarośle dla przesadzenia drogi. Otóż-to, to samo. Fryderyk zadrżał; szelest się zbliżał.

W chwili kiedy ona wchodziła, poprzedzając swą matkę, wszczął się ze wszystkich stron szmer pomięszany, tyle przyjemny dla serc młodych; jest to rodzaj szmeru nie wyraźnego, któren się niedaje rozumieć, ale któren czuć można. Niektóre zazdrośne oczy, wiele ócz życzliwych, a większa jeszcze liczba z żadnem uczuciem, były czynne (rozumie się że mówię tu o spojrzeniach kobiecych); a wszystkie oczy mężczyzn omamione i oczarowane, w tej samej chwili były na nią wlepione.

Weszła więc, lekko się z jednej na drugą stronę kołysząc. Nic tak nie przystoi młodym pannom, jak ta niepewność w ich postępowaniu, wyłączna od wszelkiego wyobrażenia o sile i woli. Jej piękne oczy niebieskie, których rzęsy blond spadały w pół okrąg, jakby cień płynny, nos jej kształtnie odznaczony, usta jej różowe, lica białości przebijającej różowość, włosy blond, ozdobione tylko jedną różyczką białą, przypominającą wszystkie jej wyobrażenia miłości i wdzięki, usprawiedliwiały wrażenie, jakie sprawiła na wszystkich. Z resztą ani jednej kosztowności, ani zausżniczek, ani naszyjnika. I do czego? O chęci przypodobania się w ośmnastym roku! Jakże twa prostota naiwna ma więcej wdzięków i złudzenia, niż gust niegodziwy i pospolity błyskotek i ozdob! To ci tylko wyrzucać będę, ale zawsze na dobro twych wdzięków, iż nie posuniesz o dwa cale w górę okręgu swego stanika! Od czasu wygnania z Edenu kobiet, były skazane na wstydliwość, to znamię cnoty; zrzucając zasłonę, rozdzierają łono świętości, gdzie się kryje miłości ołtarz. Miłość jest także wyrocznią; a starożytne boginie nie wydają jej inaczej jak zasłonięte. Przypadkiem zostawione wolne miejsce, sprowadziło Księżnę blizko nas. Usiadła dumna z swą córką z szlachetną pychą, mającą w sobie coś nadludzkiego, gdy odcień wyższości nie odznaczył się w zakątkach jej ust. Była to sprzeczność kobiety światowej, pomiędzy kobietą światową a matką, próżności z dumą, miłości własnej z miłością. Spodziewam się, że najsurowszy spostrzegacz niezdołałby odkryć nic podobnego w układności lekkiej i naturalnej, z jaką młoda piękność okazywała swe wdzięki. Spodziewam się, bo jest tu Fryderyk, uzbrojony drobno-widzem psychologicznym, którego bardziej obawiać się należy, niżeli szkół *Lorvolla.*

(Dokończenie nastąpi.)

ASMODEUSZ W ROKU 1837.

Wieczór pierwszy.

Powiem wam, moi niekochani czytelnicy, rzecz tak dziwną, iż wy chyba, coście wierzyli w prawdziwość Saint-Synonizmu, w panaceum Leroi, w dośrodkowy wzrost roślin i inne artykuły wiary naszego wieku, uwierzyć w nią będziecie mogli.

Asmodeusz, ów sławny djabeł kulawy, który tyle rzeczy ciekawych wyjawił Don Kleofasowi, znowu przyszedł na ziemię, i do tegoż samego Don Kleofasa. Bo i Don Kleofas żyje. Jakim sposobem? tego wam niumiem powiedzieć, bom dojść nie mógł ani z recept Cagliostra, ani z pośmiertnych pism Hrabiego S. Germain, ani nawet z Makrobiotyki ś. p. Vireja,—że żyje jednak—to prawie pewna; wziąłem go zupełnię żywego i prowadzę przd was, najnieukochańsi i najniełaskawsi czytelnicy rodzaju męzkiego, żeńskiego i nijakiego, i wszelkich innych pośrednich rodzajów.

Jednego wieczora, kiedy Don Kleofas siedział zadumany, o jutrzejszym obiedzie zapewne, puknął ktoś do okna i nie czekając odpowiedźi, przez otwór w oknie, wemknął się do izby. Don Kleo-

fas spojrzał zdumiony, poznał po płaszczyku i nóż ce starego swojego przyjaciela.

«Z kądżeś się wziął po tylu latach,» zawołał zdziwiony, «i co cię tu przyniosło?»

«Stara znajomość Don Kleofasie—chciało mi się znowu świat obejrzeć, czy też się on co odmienił od nowych naszych przeglądow. Mówią że ciekawość pierwszy stopień do piekła; ale na ten raz ona mnie odwrotnie z piekła wyprowadziła. Bo choć i do nas pod wodnym okrętem (raisseau sous-marin) z Londynu przychodzą gazety wielkości obrusów i książki, w których więcej białego papieru niż myśli,— któżby to czytał? a jak z nich świat poznać? Jest to tylko jedna strona medalu Don Kleofasie!»

«Więc, jak uważam, chcesz abym ci z kolei za przewodnika służył,» rzekł Don Kleofas, «do nocnej wyciecki.— Trochę to będzie trudno, bo ja nie wielę świata widuję i mało go znam; jednakże kiedy chcesz—idźmy!»

«Czekaj,» rzekł szatan, «odpowiedz mi wprzód na niektóre pytania; a naprzód: prawdaż-to, że wam się zdaje jakbyście niezmiernie zmądrzeli, co jest, między nami mówiąc, nie mylnym dowodem wysokiego głupstwa, prawdaż-to, żeście uwierzyli w ciągłe doskonalenie się ludzi, z którego zbudowaliście systemat i na mocy jego wywracacie wszystko dawne: wynalazki, formy, sposoby, smaki; nie mając nawet czasem co na ich miejsce położyć? Słowem, że chcecie być sławni ze zrujnowania gmachu doświadczenia, który wam ojcowie wasi jako skarb najdroższy zostawili. Prawdaż-to?»

«Niestety! prawda;» odpowiedział Don Kleofas, «ale nasz wiek jeszcze jest taki młody! nim się skończy, będzie pewno z ruin budował na nowo, nieznalazłszy co innego do postanowienia na ich miejscu. Ta młodość jego i chęć pokazania sił swoich, zbyt go daleko unosi; podszedłszy dalej postrzeże się, a rozpatrzywszy się że jego odkrycia i wynalazki nie są wcale nowe, spuści z tego tonu, jaki sobie przybrał w obliczu przeszłości.»

«Prawdaż-to znowu,» rzekł szatan, «że wasza literatura stała się obrazem anormalnym, nie naturalnym, warjackim, niewiedzieć jakiego towarzystwa ludzkiego, złożonego z zapaleńców, zbrodniarzy, mizantropów i zalotnic? Że wasz dzisiejszy sposób pisania, historyi nawet, daje czuć ten szał osobliwszy, że widzicie świat całkiem inaczej, niżeli go kiedykolwiek widziano i widzieć potrzeba? Prawdaż-to, że szatan wpadł wam w łaskę i stał się nieochybną ritornellą każdej kompozycii idealnej i plastycznej?»

«Co do drugiego,» rzekł Don Kleofas, «jak i do pierwszego, po części prawda. Lecz jest to tylko nieporozumienie tłumu naśladowników, z którym nigdy ładu dojść nie można. Oni to, z dawnej literatury wyciągnąwszy teoryje na swój pożytek, sprofanowali ją zimnemi kopijami i prześladowali do tego stopnia, że jej już nasz wiek przyjąć za pożywienie nie mógł. Ciż sami teraz, gdyśmy poszli w inną stronę po natchnienie i materyjał stworzenia, zaraz, jak najśpieszniej, zrobili sobie szkołę i formę nową, aby ją wyczerpać do ostatka. Ich to wina, że co w wielkich twórcach było środkiem tylko pomocniczym, stało się celem w literaturze. Te ohydne obrazy, z początku w części jako nowe, w części jako potrzebne do doskonałej całości użyte zostały; oni tego nie zrózumieli, i wzięli jakiem mówił środek za cel. Tym samym sposobem szatan zmartwychwstałych Miltonów, w osobie Byrona i Göthego, szatan odnowiony i użyty jako nowy, czasem jako potrzebny w kompozycyjach—dla nich stał się jedyną, ulubioną i niewyczerpaną studnią co raz nowych dziwactw. Jedni go używają, bo go lubią sami, drudzy dla tego, że go lubią czytelnicy. Lecz że jest w modzie, temu nikt zaprzeczyć nie może. Tak samo w kobiecych poezyjach, są w modzie aniołowie; tak samo niedawno byli w modzie dzicy ludzie *w stanie natury!* Tak samo jest w modzie hystoryja, chociaż, zacząwszy od Walter-Skota, cała szkoła historyczna, widzi przeszłość i maluje nie jak była, ale jak się jej podoba, jak ją ogląda z tego dzisiejszego stanowiska, które zmieniwszy, nową znowu historyją pisać zapotrzebuje.

(*Dokoń. nastąpi*).

OBRAZY LONDYNU.

Giełda w Londynie.

Wychodząc z smutnej okolicy Londynu, położonej w południowej części miasta, przebiegłszy mnó-

stwo wązkich, krętych uliczek, staniemy w ulicy Threadneedle, której czarne olbrzymie gmachy wznoszą się jak mury więzienia i żadnego nie dopuszczają promienia słonecznego na brudny i zepsuty bruk tej ulicy. Również tutaj postrzegamy gmach ponury obszerny, raz próżny, drugi raz ludźmi przepełniony, cichy jak grób i znowu pełen wrzasku i hałasu.. Jest to Giełda Londyńska, „*Stock-Exchange.*"

Czemże jest *Frascati* w Paryżu, czem są piekła (*hells*, domy gier) w ulicy *St James* w porównaniu z tym olbrzymem, z tym kolosem, z tym potworem, który w jednym dniu pożera budżet trzech królestw, w porównaniu z tem niezmierzonem polem chciwości i przemysłu? Ruleta, *Rouge i Noir*, czemże jesteście? Dziecinną zabawką w porównaniu z temi olbrzymiemi, okrutnemi walkami, które się w tej jaskini toczą. Tutay wygrywają i przegrywają w kilku godzinach miliony funtów szterlingów. Iluż milionowych ludzi przebiegło uliczkę do tego gmachu prowadzącą, którzy żebrakami wieczorem do domu powracali! Tu odbywaią się najszybsze i najdziwniejsze zamiany; Aladina lampa nieposiada tej czarodzieyskiej siły, córka dawnych bogin nie była tak potężną. Z tąd wychodzą bankructwa, z tąd zapełniają się więzienia, dom ten pomnaża liczbę samobójców, wznosi rękę zbrodni. Dziwne ognisko skąpstwa i omamienia, gdzie złota nie ma, a jednak wartość jego dla całego świata się stanowi; brudna ciemna sala, gdzie szczęście założyło swoje świątynią i warsztat, żarzący krater, na którym złożono nadzieje chciwości, zniego czerpają rozpacz i śmierci, bogactwa i rozkosze. Miejsce to należy szczególniej zwiedzić w dniu, w którym się rozszerzyła pogłoska o wojnie, zmianie Ministrów lub jakiej innej ważnej okoliczności. Ujrzemy tam przed dziewiątą rano pojedyńcze, niespokojne grupy, ludzi, którzy tajemniczo z sobą rozmawiają, gazety czytają, rachują lub chodzą zamyśleni. Na kilka minut przed dziesiątą staje Kasztelan (rządca Pałacu) na wywyższeniu i wygląda zniespokojnością stanowczej chwili. Zaledwie wielka skazówka dobiegła liczby dwunastu na cyferblacie, na tenczas Kasztelan daje grzechotką znak do bitwy i odgłos ten zmienia widowisko. Wszyscy się rozpraszają; ludzie, którzy dotąd pojedyńczo stali, cisną się do jednego punktu, nic niesłychać, jak krzyki, wrzaski, kłutnie, ten łokciem odpycha swego poprzednika, tamtem pięścią za to odpowiada. Z tych gęstych szyków odbijają się o uszy spokojnego widza odgłosy dwóch tylko wyrazów: „ja kupię, ja sprzedam." Te po tysiąc razy powtarzane słowa popierane bywają fałszywemi argumentacyami, kłamstwem i podstępem. Idzie tu o to, aby pierwszą cenę ustanowić, co przeważny ma wpływ na chwianie się papierów publicznych. Jednakże, aby dobrze zrozumieć szczególny ten handel, powinienem naprzód wejść w niektóre jego szczegóły.

Giełda, jest to miejsce publiczne, gdzie się sprzedają i nabywają papiery rządowe, nim takowe do Banku Londyńskiego przechodzą. Znane nam jest w ogólności słowo Giełda, ale mało komu wiadomo, jakie się tam czynności odbywają. Czytamy często w gazetach, że ten lub ów ajent giełdy upadł, tamten się utopił, inny uszedł, inny znowu pozostawił do milijona długu. Rzadko kto zna właściwe spekulacye 1,000 osób, które się na Giełdzie schodzą. Nie kupują oni tam papierów publicznych ani sprzedają; idzie im tylko o to, aby je podnieść lub zniżyć w wartości i wysokość lub niskość tychże (Hausse et Baisse) użyć na osobistą korzyść. Spekulacyja ta jest więc w rzeczy samej tylko zakładem. Jedni się zakładają, że papiery pójdą w górę, drudzy, że spadną. Wartość zakładu podnosi się stósownie do okoliczności. Kto chce mieć udział w tej grze hazardownej, opłaca meklerom Banku procent, a ten w jego imieniu licytuje.

Na tem ograniczają się interesa w giełdzie.

Każdy wie, że wypadki polityczne mają wpływ na obfitość lub brak papierów publicznych; im większe jest bezpieczeństwo, tem więcej środków ma kraj do spłacenia długów swoich. Tak więc powstaje klasa ludzi, klasa osób, które współubiegają się z krajem i którym na upadku jego wszystko zależy. Podziwiajmyż ten rezultat, szczegól-

niej w Anglii, chełpiącej się z narodowości i publicznego ducha swego.

Wybiła godzina 11ta; pierwszy kurs jest oznaczony, upadek i szczęście, ubóztwo i bogactwo wisi nad wszystkiemi temi ruchomemi głowami. Oto ów śmiejący się, hałasujący mąż utracił w ostatniej godzinie 10,000 funtów szterlingów; oddaje art za żart, grubijaństwo za grubijaństwo, szyderstwo za szyderstwo. Owe 10,000 funt. szter. były może całym jego majątkiem. Tamten drugi słabszy, ale mędrszy, stoi tam niewzruszony z osłupiałym wzrokiem, spuszczonemi ramiony, otwartemi usty przed swoją zgubą. Takowy stan rzeczy trwa przez całe przedpołudnie; to trudne do uwierzenia wysilenie zaledwie łagodzone jest chwilą spokojności; wrzawa ogłusza; powietrze staje się dusznem; mało osób posiada tyle sił fizycznych i moralnych, aby męczarnie te wytrzymać mogli. Ryk byków i niedźwiedzi, które raz są zwycięzcami, to znowu zwyciężonymi, okazuje wahanie się walki. Często prywatne omamienia powiększają krytyczność tej bezimiennej trajedyi, i często z rozpaczy straty, lub z radości zysku wznoszą się z owej gruppy okropne głosy szaleństwa lub upojenia, jakie zaledwie w domu obłąkanych usłyszeć można.

Lecz, jak gdyby natura ludzka nie mogła długo wytrzymać tego gorączkowego wzburzenia, tego gwałtownego skupienia wszystkich sił, owi *giełdodownicy* zniósłszy dobrowolnie takie męczarnie, zyskawszy lub straciwszy, walcząc z ubóztwem i bogactwem, pozwalają sobie chwilę wypoczynku. Wszystkich opanowywa żądza najrozwięźlejszej rozkoszy. Jeden wytrąca drugiemu kapelusz z ręki; wszystkie poły wszystkich surdutów wznoszą się nad głowami. Rzucają na siebie gałki papierowe, biją się i popychają, boxują i tratują się wzajemnie. Nigdy młodzież szkolna, wychodząc ze szkoły, nie robi większego hałasu i głupszej pustoty. Jeźli się już naprzykszy kułakowanie, wskakiwanie na ramiona i walcowanie, zaczynają śpiewać; tysiące chrapliwych i piszczących głosów usiłują wydobyć harmoniję i wzruszają salę śpiewem *God save the King* lub *Black Joke*. Nikt się od tego śpiewu nie wyłącza.

Ten napad śpiewo-manii bywa niekiedy pewnym rodzajem kary. Jeżeli który ze zwyczajnych giełdowników przestąpi istniejęce zwyczaje, jeżeli czembądź ściągnie na siebie niechęć kolegów swoich, w ówczas karzą winnego następującym sposobem: Zaledwie wejdzie do giełdy, natychmiast obstępują go wszyscy; tłum owych groźnych śpiewaków, od których silnych głosów drżą sklepienia giełdy, otacza ofiarę i zmusza nieszczęśliwego do śpiewania *God save the King* lub jakiej innej pieśni. Winny pozostaje w tem dziwnem położeniu, dopóki śpiewakom nie podoba się go uwolnić. Jeźli przewinienie jego było wielkie, w tenczas powtarzają śpiewy, a jeźli w wysokim stopniu są przeciwko niemu oburzeni, męczarnia ta przedłuża się bez końca.— Jeden z ajentów giełdowych zkompromitował przez swoje postępowanie sławę kolegów swoich, i ile razy wszedł do giełdy miejskiej, ujrzał się otoczonym śpiewakami i zmuszonym do śpiewania razem z nimi. Jako człowiek silny, zdrowy, poddał się bez wahania temu obrządkowi. Skoro tylko wszedł do sali, sam zaczął lekcyję swoją, jaką mu zadano. To oburzyło kolegów. Sądził on, iż tryjumfując nad nimi, wytrwałością swoją uzyska prawo do spokojnego oddania się zatrudnieniom swoim; ale już raz postanowiono go udręczyć. Zdrowie jego znikało, piersi osłabły; prosił o łaskę, ale mu jej odmówiono, i nakoniec pomimo przywiązania swego do Króla, nie mógł już chwały jego śpiewać. *God save the King* wydaliło z giełdy jednego z jej najgorliwszych odwiedzicieli. Już więcej w niej się nie ukazał!

Po przeminieniu tego nagłego szału radości, zapadają wszyscy w stanie spokojny, któryśmy wyżej opisali. Często zdarza się, że mgła gęsta, nie rzadko ukazująca się w Anglii, rozpościera cienie swoje wewnątrz giełdy. Wówczas zapalają wśród dnia lampy, a to smutne światło podnosi panującą zewnątrz ciemność.

Oto są zatrudnienia, oto są zwyczaje naszych giełdowników.

LIST REDAKCYI
DO
ODPADŁEGO PRENUMERATORA.

Se ben lontano tu sei,
Sono vicino a te.
METAST.

Niewierny, boleśnie ukochany!

Z zapłakanemi oczyma przeglądałem dziś spis moich przyjacioł. Imię Twoie nie jaśnieje już, jak Sirius na spokojnem niebie, na liście moich prenumeratorów. Miałbyś mnie opuścić? mnie! Nieutulony żal ściska moje serce, wściekła boleść pożera mnie całego, Ciebie już nie ma pomiędzy moimi prenumeratorami! Powróć do mnie, pamiętaj o pierwszej naszej miłości, o naszych przysięgach.

«*Mourant ensemble, ensemble ensevelis,*
Au ciel encore nous resterons unis!»

Tak, i po śmierci jeszcze prenumerować będziesz na moje pismo! Słodki Prenumeratorze, powróć w moje wierne objęcia. Już wielu, którzy mnie w chwili nieszczęsnego obłąkania porzucili, już wielu z skruchą i ze łzami powróciło na moje okropne łono!

«*Un anima infidele non sarà main felice!*»

Cóż cię odemnie odstręczyło? *Oddalenie?* Miłość nie zna oddalenia! od czegóż poczty, od czego koleje żelazne? Gdybyś poszedł za morze, do Ameryki, do Algieru, moje pismo cię doścignie. Od czegóż statki parowe? Może udasz się na księżyc? Od czegóż balony? *Greenn* odniesie Ci regularnie moje pismo! Albo możeś umarł? I to nic nie szkodzi! Na tamtym świecie lubią nowiny, Charon jest mój znajomy, u niego założę nowy kantor mego pisma dla Ciebie. Jean Paul powiada: «Życie jest tylko *chwilą*, również jak i śmierć.» Ale prenumerować można w każdej chwili!

Albo może ci się coś nie podoba w mojem piśmie? Kochany, sercem ukochany, rzewnie opłakiwany Dobrodzieju, powiedz mi, natychmiast je przeistoczę! Może ci się litery nie podobają? mniejsza o to, całkiem je skasuję! Powiedz, wyrzecz, kochanku mojej duszy, cóż mam uczynić, czego się mam strzedz, abyś do mnie powrócił! — Ty milczysz, uśmiechasz się?—Jakże sobie ten uśmiech mam tłomaczyć? Ty nie odpowiadasz? Jeszcze raz do Ciebie napiszę! Ty jeszcze nie odpowiadasz? Będę więc zawsze i wiecznie do Ciebie pisać, bo czemże sobie miłość słodzi oddalenie, jeżeli nie częstemi listami?

Nie, ja się nie mylę, związki nasze nie są zerwane, będą one wieczne, bo pewien hiszpański poeta mówi:

«*El que amigo es, en todo tiempo ama.*»

Po polsku: Kto prawdziwie kocha, nieprzestaje prenumerować! Tu łzy i łkanie przerywa mi słowa; ach! powróć, powróć do mojego serca!

Ale— możeś dla tego nie zaprenumerował, że pieniędzy nie masz? I to nic nie szkodzi! Pożycz sobie parę złotych, wszakże to jest świętym przywilejem miłości, że dla miłości bliźniego długi zaciąga! Raz jeszczcze miłośniku nauk, umiejętności i sztuk pięknych, szlachetny, wspaniałomyślny mężu, sławny mędrco, nieociągaj się, ileż ci to razy mam powiedzieć i napisać: powróć i zapłać.

Serce moje jest zawsze u ciebie, a kwit na prenumeratę przygotowany.— Bywaj zdrów!

Bulwer i Niemcy.

Najnowszy swój romans pod tytułem: *Ernest Maltravres* ofiarował Bulwer Niemcom. Nie z przyczyny jego osnowy, ale z czystej wdzięczności. Dowiedział on się o uwielbieniu, z jakiem w Niemczech dzieła jego czytają; niektóre romanse i powieści Bulwera cztery razy są tłumaczone w Niemczech. Umieszczamy tu dedykacyją autora pisaną w tak pochlebnych dla narodu Niemieckiego wyrazach. Jest ona nestępująca:

Wielkiemu Niemieckiemu narodowi.
Narodowi bogatemu w filozofów i krytyków.
Głębokiemu w sądzie, względnemu w naganie, wspaniałomyślnemu w zdaniu.
Poświęca to dzieło autor angielski:

Znaczenie szarady w nrze 79 i 80: Sto-pa.